

KONRAD KOMORNICZAK

„ZIMA”

© Copyright by Konrad Komorniczak

Śnieg zawsze spada na Poznań jak długo wyczekiwany zbawca. Drobnymi płatkami ścieli szare ulice, by ukryć ich jesienną brzydotę przed oczami nielicznych, przybyłych na targi, turystów. Okrywa gołe, czarne drzewa oraz tuli do snu parki dając słodki i zasłużony odpoczynek wysmaganej zimnym wiatrem przyrodzie. Pustoszy fontanny zapełniając jednocześnie pagórki. Te małe, średnie, duże, a nawet te największe zalewa, niosący się echem po mieście, pisk i wrzask roześmianych dzieci o czerwonych od mrozu policzkach, które bezustannie, naśladując Syzyfa, ciągną niestrudzenie swoje sanki pod górę. Nie przeszkadza im świadomość, że zaraz razem z nimi znajdą się z powrotem w poprzednim położeniu. W przeciwieństwie do swojego mitologicznego poprzednika bawią się świetnie czynnością, która nigdy mogłaby nie mieć końca. Najwięcej dzieci jest zawsze na Teatralce. Biały śnieżny płaszcz wreszcie rozświetla miasto tworząc substytut słońca, którego w coraz krótszych dniach tak bardzo mu brakuje. Wszystko zwalnia. Ospale kroczymy do pracy, zaraźliwie rozsiewamy ziewanie po tramwajach i autobusach. Błyskające w półmroku zewsząd światła lulają nas i odbierają chęć do pracy, szczególnie jak zwykle zaskoczonym nawąłem obowiązków drogowcom. Nawet samochody zimą ciężiej dobudzić. Choć wydaje nam się, że tak nie jest, razem ze zwierzętami, o których uczono nas w szkole podstawowej i miastem, w którym przyszło nam żyć, zapadamy w letarg, by obudzić się wraz z odejściem kry na Warcie. Zima, jak matka swoje dziecko, kładzie nas do łóżka po ciężkim dniu. Nie zapomina przy tym wyszeptać do ucha historii, której zakończenie poznamy dopiero w snach.

Święta Bożego Narodzenia z witryn modnych sklepów, centrów handlowych, supermarketów i przez otwory masek sztucznych Świętych Mikołajów już od dawna zerkały na mieszkańców. Początkowo nieśmiało szeptały. Gałązkami świerku, witryną zaproszoną śniegiem w sprayu, milionem zrobionych z plastiku pierwszych gwiazdek na niebie i pojedynczymi, rozlegającymi się znienacka w różnych miejscach dźwiękami dzwonek namawiały do zakupów. Dziś, w dzień wigilii ostatkiem sił, ustami elfów wykrzykują najlepsze na rynku oferty, rękami aniołów ciągną przechadzających się ulicami potencjalnych klientów, by z ich i tak już mocno uszczuplonych portfeli wyrwać resztę pieniędzy, zamęczyć mocno wysłużone karty kredytowe. Jest jednak w Poznaniu miejsce, do którego nigdy nie docierał żaden wrzask, które od lat zamiast sztucznie napędzać bieg życia ludzi, idealnie z nim współgrało. Konsekwentnie głuche na wszystko, co mogłoby choć odrobinę zmienić sprawdzony porządek rzeczy, nadwątlić reputację ostatniego bastionu tradycji.

Szarało już. Na otoczony z czterech stron starymi kamienicami Rynek Jeżycki z nieba leciały ciężko mokre płatki śniegu. W ostatniej fazie lotu elegancko, z gracją zwalniały, by delikatnie osiąść na wąskie alejki i zrobione z plandeki dachy straganów i przez mrugnięcie oka jedynie pokazując swoje unikatowe piękno rozpląnąć się w zmieszanej z piaskiem pośniegowej breji. Nie było zimno. Choć z ust tłoczących się między stoiskami ludzi buchały kłęby pary to ogrom oddechów złączony na tak niewielkiej przestrzeni ogrzewał wszystkich równomiernie. Tylko opatuleni w dziesiątki koszulek, swetrów, grubych skarpet, szali, rękawiczek i wszelkiego rodzaju ocieplaczy, nauczeni bogatym doświadczeniem minionych zim i wigilii sprzedawcy chuchali na ręce lub ogrzewali je zaciskając mocno dłonie na kubkach z pachnącymi kawami, herbatami z cytryną, czy w zależności od upodobania zupami. Większość dla pewności jeszcze co raz popijała schowaną pod ladą wódkę. Odbywali tu już niejedną wspólną wigilię, by później

na ostatnią chwilę z zarobionymi pieniędzmi wracać do podpoznańskich wiosek i poznańskich mieszkań, do kuchających w oparach kapusty, czy barszczu babć, matek i żon, do czekających z niecierpliwością dzieci. Jak prawdziwa rodzina, dzielący dzielnie los ramię w ramię Polacy i Ormianie, kobiety i mężczyźni, wieśniacy i miastowi, czy wreszcie ci młodzi wraz ze starszymi, nie skarżyli się nigdy na swoją dolę.

- Czy mogę coś podać?

- Jak się córka miewa? Przyjeżdża z zięciem na święta? Kilogram tych jabłuszek? Proszę bardzo.

- Oczywiście. Słodziki są te mandarynki. Tak. Bez pestek. Proszę próbować.

- Oj taki ziąb. Zmarznie panienka. Za suszarkę do włosów 30 złotych, a za golarkę 40, ale dla pani zrobimy upust.

- Przykro mi, ale już nie mamy. Może pani spróbuje u kolegi obok. Wiechu! Masz jeszcze te rajstopy z lycrą?

- Proszę bardzo. Wesołych świąt.

- Dziękuję bardzo. Wzajemnie.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Pomimo zbliżającego się zmięzchu rynek tętnił życiem. Wszędzie unosił się zapach cytrusów, jabłek, suszonych śliwek, bakalii, maku, świerku, jodły i jemioli. Stragany mieniły się feerią barw od kwiatów począwszy przez perfumy, pidżamy, góralskie kapcie i chińskie koszulki, gry wideo, na pluszowych zabawkach oraz na wpół żywych, ciężko łapiących powietrze karpach skończywszy. Wszystko rozświetlało światło tysięcy maleńkich choinkowych lampek odbijające się od przeróżnych w gamie kolorów, kształtów i wielkości ozdób świątecznych. Lampek, które zgodnie z zapewnieniem sprzedawcy nigdy się nie psuły, a których w rzeczywistości każdy, kto chciał by na jego drzewku zagościły połyskujące, sprawne żarówki, musiał co roku kupić za grosze przynajmniej komplet. Wszystko to w rytm wszechobecnej piosenki *Last christmas*, która przywodząc na myśl poprzednie święta również rozbrzmiewające piosenką *Last christmas*, zaklinała pętlę czasu, jak dwa lustra ustawione naprzeciw siebie zaklinają przestrzeń w absurd nieskończoności.

W tej otaczającej zewsząd zmysły różnorodności nikt nie dostrzegał grupki małych, ubranych w przybrudzone, stare, poprzecierane na kolanach spodnie i wydarte na łokciach kurtki, chłopców. Sprzedawcy zaś dobrze wiedzieli, że to dzieci z biednych rodzin, które rodzice wysyłają na targ, żeby wykorzystując niski wzrost zakradali się po jedzenie ze stoisk, a pieniądze z portfeli, w najlepszym zaś przypadku odwoływali się do rozmiękczonego świątecznym nastrojem dobroci i miłosierdzia serc przechodniów, prosząc o datki na wyimaginowane chore siostry i braci. Dlatego też przeganiano ich nierzadko, a nawet wzywano policję, która jednak w pojedynku z małoletnimi mistrzami skakania przez płoty była zupełnie bez szans.

Był jednak wśród nich chłopak, który odstawał od reszty. Najdrobniejszy, cichy, wiecznie posiniaczony o smutnej, jakby zamyślonej twarzy, skrytej pod za dużą, szarą wełnianą czapkę. Nie biegał z innymi, nie wyciągał rąk po nie swoją własność, dzięki czemu koledzy pogardliwie wołali na niego Cipa nierzadko przy tym składając na jego wątlym ciele serię ciosów i kopniaków doskonalących ich chuligańskie umiejętności.

Straganiarze natomiast ochrzczili go Gapciem i ponieważ widzieli, że jest mu ciężko zatrudniali go do lekkich prac w zamian za jedzenie lub drobne sumy pieniędzy. Miał na imię Jasiak. Jan – po dziadku. Miał 6 lat.

Długo już krzątał się w gąszczu ludzkich nóg, nierzadko trącany wypchanymi po brzegi torbami, spoglądając zazdrośnie na kupujących dzieciom prezenty rodziców. Smutny karzeł w szczęśliwym świecie wielkoludów. Nie miał nic lepszego do roboty. Wiedział, że jakkolwiek nie byłoby zimno przed chłodem ochroni go ciepły strój, który na krzyki w domu nie jest już tak odporny. Dlatego też nie chciał do niego wracać. Z czasem rynek pustoszał, a w tłumie było się coraz łatwiej przeciskać. Ludzie powoli znosili zakupy do domów, by wreszcie móc usiąść w wygodnych fotelach i napawać się czasem spędzonym z bliskimi przy wspólnej kolacji.

- Gapcio? Gapcio to Ty? Kto ci taką czapkę sprawił? Do myszy jesteś podobny nie do człowieka. Ledwo cię zauważyłem – wykrzyknął pulchny sprzedawca sprowadzanych z Niemiec proszków i wszelkiego rodzaju słodyczy, śmiejąc się przy tym przyjaźnie.

- Tak panie Marku?

- Chodź no na chwilę urwisie – powiedział przywołując chłopca zamaszystym ruchem ręki.

Jasiak przecisnął się do przejścia i odsuwając mozolnie skrzynki wszedł do miejsca, z którego pan Marek rozdawał smakołyki zachodnich sąsiadów. Trącił jeszcze przy tym jakąś starszą panią, która widząc swoją wyraźną przewagę wzrostu i wieku nie omieszkała wyzwać malca od bękartów. Czy zamierzała również tak okropnie nakrzyczeć na własne wnuki, gdy wróci do domu i podzieli się z nimi prezentami? Tego już chłopiec nie wiedział.

- Wiesz która jest godzina?

- Dlaczego pan pyta?

- Powinieneś chyba być w domu i pomagać mamie przygotować kolację – spojrzał na chłopaka zagadkowo.

- Pieprzę, nie idę. Pan też już powinien być w domu – wykrzyknął chłopak i już miał się odwracać, gdy sprzedawca złapał go za ramię.

- Poczekaj. Powiedziałeś, że pieprzysz. Skoro chcesz przeklinać to pewnie też chcesz żebyśmy rozmawiali z tobą jak z dorosłym.

- Jasna sprawa – wrzucił chłopak podnosząc głowę.

- Będę więc traktował cię jak dorosłego. Dorośli nie pytają dlaczego robisz tak czy inaczej. Ja też nie zapytam. Nie chcesz iść do domu, twoja sprawa i wybór. Ja bardzo chcę już być z żoną i z dziećmi, dlatego jeśli się zgodzisz i nie masz nic lepszego do roboty chciałbym żebyś pomógł mi spakować towar do samochodu. W zamian możesz wziąć siatkę i zapełnić ją czym tylko sobie zyczysz ze straganu. Zgadzasz się? – mężczyzna mówił powoli cały czas wpatrując się w brązowe oczy chłopca.

Propozycja zabrzmiała widocznie bardzo rozsądnie, bo Gapcio uspokoił się i popędzany myślą o łakociach natychmiast zapytał.

- Samochód tam gdzie zawsze?

- Tam gdzie zawsze. Umowa stoi?

- Stoi.

Objęli się jeszcze czule i zabrali do pracy.

- Weź te słodycze teraz, bo później zapomnisz.

- Dziękuję proszę pana.

Pan Marek pakował czekolady, marcepany, proszki, wybielacze, zabielaćce, odbielacze, jajka niespodzianki oraz niespodzianki jajka do toreb i skrzynek a chłopak ciągnął je do ustawionej w pobliżu półciężarówki. Praca nie była ciężka, więc wszystko szybko i sprawnie znikało w czeluściach auta. Myśl o nagrodzie skrytej w siatce na pace samochodu dodawała sił i rozgrzewała serce Jaśka. Wszyscy zbierali już swój dobytek, żegnali się, łamali opłatkiem życząc zdrowych i spokojnych świąt, bądź też popijali resztki wódki i wina wznosząc głośne toasty za pomyślność i wspólne spotkanie po urlopie. Kiedy chłopak zabrał ostatnią torbę wiedział już, że teraz nareszcie zatopi zęby w słodkim karmelu i czekoladzie, z których przez najbliższe godziny nie będzie mógł uwolnić zębów i dziąseł. Biegł tak szybko, że wywrócił się jeszcze po drodze, jednak nawet taka porażka i związane z nią otarte ręce nie mogły zniszczyć tej wspaniałej chwili. Wkrótce wszystko było idealnie zapakowane. Gapcio wszedł na pakę, zamknął drzwi od środka i zaczął łakomie konsumować smakołyki. Oparł się o leżącą obok niego stertę szmat. W aucie było przyjemnie. Dużo przyjemniej niż na dworze. Poczuł to dopiero teraz, gdy wiatr nie smagał już jego młodych policzków. Po zjedzeniu pięciu batonów i całego marcepanowego ciasta nareszcie wypełnił żołądek. Przyjemne ciepło pomagało trawić setki kilokalorii, które przed chwilą spożył i magicznie osiadało na jego powieki czyniąc je nadzwyczaj ciężkimi. Po niedługim czasie pan Marek rozstał się już z kolegami i koleżankami i w nadziei na rychły powrót do domu poszedł do samochodu. Chciał pożegnać się z Jaśkiem, ale nie mógł go nigdzie znaleźć. Nie był na niego zły. Pracę wykonał przecież bardzo dobrze, a że mimo młodego wieku zawsze chadzał swoimi ścieżkami nie miał mu absolutnie za złe.

Drogi były puste. Miasto wyludniło się zaledwie w godzinę więc mężczyzna dotarł na Ogrody w niecałe 10 minut. W oknach mieszkania świeciły światła odślaniając przysłoniętą delikatnie firaną, smukłą, przystrojoną kolorowo choinkę. Mężczyzna poszedł jeszcze upewnić się czy tylne drzwi są dobrze zamknięte. Cieszył się, że po całym przedświątecznym okresie, kiedy to dbał o to, by na stołach innych nie zabrakło smakołyków sam wreszcie będzie mógł odpocząć i zakosztować tego, co tak usilnie im polecał. Drzwi nie były zamknięte na zamek. Były tylko przymknięte. Otworzył je i poprawił stojące nieco krzywo skrzynki. Nagle leżąca obok nich sterta starych koców, swetrów, których używał do sprzątania auta lekko poruszyła się. Pierwsze ruchy były bardzo nieśmiało więc odebrał je jak przywidzenie. Jednakże zaraz po nich szmaty poruszyły się mocniej i gwałtowniej. Coś wyraźnie usiłowało się spod nich wygrzebać. Marek odskoczył natychmiast z głośnym „O żesz kurwa!!!” na ustach. Po chwili już wyraźnie wiedział, że coś jest w aucie. Jeśli szczur – zabije. Strasznie się ich brzydził. Chwycił klucz francuski z kabiny i wrócił na pakę. Uchylił ostrożnie drzwi.

- Toż to tylko mysz, aleś mnie wystraszył – odetchnął z ulgą. – Ja myślałem, że szczur i przysięgam na Boga, że masz szczęście. Gdybym przyszedł chwilę wcześniej dostałbyś kluczem po głowie – uśmiechnął się znowu w przyjaznym geście wymachując ciężkim narzędziem.

Ze stosu wychyliła się mała głowa z jeszcze bardziej niż to było wcześniej nasuniętą na twarz czapą zasłaniającą zaspane spojrzenie chłopca.

- Tak panie Marku?

- Co ty tu robisz? Myślałem, że spakowałeś samochód, poszedłeś w końcu po rozum do głowy i pobiegłeś do domu – mężczyźnie powoli zwalniało bicie serca, a krew wracała na bladą twarz.

- Gdzie jesteście?

- Na Ogrodach.

Jasiek wygramolił się z auta niepewnie rozglądając się dookoła.

- To ja już lepiej pójść do domu proszę pana – odezwał się cicho.

- Dokąd pójdziesz? Pewnie nawet nie wiesz gdzie jesteś. Chodź ze mną. Jest już późno. Zjesz z nami kolację a potem odwieziemy cię do rodziców – powiedział biorąc Gapcia na rękę. – Na pewno ucieszą się z takiego prezentu.

Kiedy weszli po schodach czekały już na nich otwarte drzwi, a tuż za nimi cała masa zapachów zbita w jeden niepowtarzalny aromat świąt, z których nos chłopaka wyłapał grzyby, rybę i ziemniaki. Żona pana Marka właśnie skończyła nakrywać do stołu wszystkie pyszności, których widok odebrał Gapciowi dech w piersiach. Nigdy wcześniej nie spotkał tylu smakołyków zgromadzonych w jednym miejscu.

- Dzieci przestańcie się wygłupiać i chodźcie do stołu! – pokrzykiwała raz po raz na dwójkę urwisów szalejących w przedpokoju. – Tata zaraz wróci. O, już jest! – dopowiedziała łypiąc na wół otwarte drzwi wejściowe.

- W sam czas kochanie. Wszystko już gotowe. O! A kto to? Przyprowadziłeś gościa?

- To Gapcio. Znalazłem go w jajku niespodziance – spojrzał na chłopca i mrugnął porozumiewawczo okiem.

- Co ty znowu wygadujesz? Jaki Gapcio? W jakim jajku? Za długo chyba stałeś na mrozie, bo wygląda na to, że mózg ci zamarł.

- Jasiek – proszę pani. Jan – po dziadku – powiedział malec korzystając z resztek odwagi w zupełnie obcej sobie sytuacji, trzymając mocno w ręku siatkę z niezjedzonymi jeszcze słodyczami.

- Gapcio, Jasiek – co za różnica? Opowiem ci później. Wszystko już gotowe? Jestem głodny jak wilk.

- Chodźcie już. Mały, zjesz na dodatkowym nakryciu. Czuj się jak u siebie w domu.

Rynek Jeżycki był już pusty, fałszywi ministranci sprzedali zdobyty z kościoła opłatek, a pierwszej gwiazdy i tak nigdy nie było widać na ciemnym od chmur niebie. Nastął więc czas wigilii. Zasiadli wszyscy razem, śmiejąc się, żartując, przywołując zdarzenia minionego dnia. Sprzedawca snuł opowieść jak zabrał małego pasażera na gapę, jak się wystraszył i jak chciał go utłuc kluczem francuskim - opowieść przerywaną tylko donoszeniem kolejnych potraw. Rodzina sprzedawcy była dla chłopca naprawdę miła, za wyjątkiem może dzieci, które gapiąc się na brudnego przybysza obawiały się, czy to przypadkiem nie ich tegoroczny prezent. Gapcio jednak nie odzywał się. Niewiele też zjadł.

- Czy wszystko w porządku? – pytała zatroskana pani Markowa – Beata, podejrzewał malec, bo pan Marek zwracał się do niej tylko Becia.

- Tak proszę pani – odpowiadał nie zmieniając nawet wyrazu twarzy.

W końcu nastął moment, na który dzieci pana Marka czekały od samego początku kolacji. Kiedy wszyscy najedli się po samą krawędź przełyku, ruszyli do pokoju, w którym stała choinka tak duża, że przed przewróceniem chroniły ją chyba tylko ustawione wokół pnia sterty zawiniętych w kolorowy papier pakunków. Gapcio nie wstał od stołu, a zaprzątnięta myślami o szale rozpakowywania rodzina nie zwróciła na to

uwagi. W asyście dochodzących z drugiego pokoju odgłosów radości i wdzięczności chłopak odsunął krzesło i przesliznął się niezauważony przez przedpokój. Złapał za leżący na szafce na buty portfel, otworzył go i z grubego jak książka pliku banknotów stułotowych chwycił jeden i schował głęboko w kieszeń kurtki. Otworzył drzwi równie szybko jak je za sobą zamknął.

- Jasiu! Chodź szybko. Nie uwierzysz. Gwiazdor przyniósł też coś dla Ciebie. Nie jesteś ciekawy?

Biegł najszybciej jak mógł potykając się najpierw o schody, a potem o wystające z dziurawego chodnika płyty. Zatrzymał się tylko na chwilę na stacji benzynowej. Ojcu kupił śrubokręt. Mamie gazetę, którą wiedział, że lubiła czytać, a której zawsze sobie odmawiała. Resztę pieniędzy wydał na dwa wielkie pluszowe zwierzaki dla Emilki i Maćka i już z torbą w ręku kontynuował szaleńczy wyścig z czasem. Sam nie wiedząc kiedy i jak, znalazł się pod drzwiami swojego mieszkania, w starej, odrapanej, bliźniaczo podobnej do wszystkich innych na ulicy Wawrzyniaka, bramie. Cicho uchylił drzwi i wśliznął się do środka. Wsuwał właśnie prezenty pod skromną choinkę, kiedy na ramieniu poczuł czyjąś ciężką rękę. Przemówił do niego głęboki głos.

- Gdzie byłeś? Martwiliśmy się z mamą.

- Przepraszam tato.

- Skąd to masz? Ukradłeś? – ton ojca stał się znacznie surowszy, gdy spojrzał na przyniesione przez Jaśka podarki.

- Dostałem.

- Nie kłam! Ukradłeś!

Chwycił go pod ramię, przewinął przez kolano i otwartą ręką wymierzył serię bolesnych klapsów. Kiedy skończył odezwał się już spokojniej.

- Proszę cię, nigdy więcej tego nie rób.

Podniósł go, odsunął z oczu czapkę i przytulił mocno, ze łzami w oczach cedząc przez zęby.

- Kochamy cię szkrabie.

Jasiu nie płakał. Z każdym klapsiem czuł się coraz lepiej. Udawał krzyk, by tata w końcu przestał, lecz w duchu śmiał się najmocniej jak potrafił. W nierównym oddechu taty nie poczuł alkoholu.

Nad Poznaniem znowu rozhulał się śnieg. Gęsty, lecz zwiewny lekko przykrywał szczęśliwe po wigilijnej kolacji miasto. Zaglądał przy tym w okna – te ciemne już, w których wszyscy spali i te, w których ludzie jeszcze rozmawiali, oglądali telewizję, czy śpiewali kolędy, opatuleni ciepłym światłem lampek z Jeżyckiego Rynku. Zajrzał i w te na Wawrzyniaka. Zobaczył szczęśliwą rodzinę. Ojca naprawiającego zepsutą od roku szafkę, mamę czytającą w fotelu gazetę i bawiące się dzieci z umorusanymi od czekolady buziemi, z których tylko jedno nie trzymało zabawki. Ono już w tym roku swój prezent dostało. Zima płatkami szeptała prawie niesłyszalne słowa.

- Dobranoc, śpij dobrze zmęczony Poznaniu.